

ZOFIA STAWORZYŃSKA

Warszawa, 20 grudnia 1945 r. Sędzia Halina Wereńko przesłuchała niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i o znaczeniu przysięgi sędzia odebrała przysięgę na zasadzie art. 109 kpk. Świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Zofia Staworzyńska
Wiek	37 lat
Imiona rodziców	Walery i Stefania
Miejsce zamieszkania	[...]
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana

Od 1941 r. mieszkałam w Warszawie przy ul. Wawelberga 18 m. 20. W czasie Powstania Warszawskiego powstańcy w pobliżu naszego domu, na rogu ul. Wolskiej i Górczewskiej, wybudowali dwie zapory przy pomocy ludności, nawet dzieci. W sąsiednim domu stały karabiny maszynowe, amunicja, granaty.

1 sierpnia o godzinie 15.00 zaczęły się w naszym punkcie zacięte walki. Sytuacja od początku była ciężka, liczni mieszkający w naszym punkcie volksdeutsche strzelali z ukrycia do powstańców, zdradzając miejsce ich placówek. Niemcy wprowadzili do akcji „tygrysy” – czołgi, rozbijali domy, przy czym ginęło masę ludzi z ludności cywilnej.

Dom nasz kilka razy był uszkodzony, czołgi atakowały od ul. Górczewskiej i Wolskiej. Na nasz teren wtargnęli Niemcy, wyciągając mężczyzn do rozbierania barykad, rozpoczęli palenie mieszkań.

Podpalono na ul. Działdowskiej domy numer 3, 5 i 8, rzucając do mieszkań butelki z benzyną, bez wzywania [uprzednio] ludności do wychodzenia z budynku, przez co ludzie nie mogli wyjść na ulicę.

5 sierpnia około godziny 13.00 na podwórzu naszego domu wkroczyli SS-mani i Ukraińcy, żądając od mieszkańców natychmiastowego opuszczenia domu. Był straszny pośpiech i popłoch. Osoby wychodzące, nie wyłączając dzieci, musiały iść z podniesionymi do góry rękami. Razem ze swoją córką, 11-letnią Aliną, opuściłam dom wraz z innymi w grupie ok. 148 osób.

Niemcy prowadzili nas ul. Działdowską do Wolskiej. Domy po obu stronach ulicy były już wypalone, a ich mieszkańcy wyprowadzeni. Na Wolskiej zatrzymali nas Niemcy przed bramą fabryki „Ursus”, która była oddziałem fabryki mieszczącej się w miejscowości Ursus.

Oprócz naszej grupy nie widziałam przed fabryką żadnych Polaków, natomiast stało tam dużo SS-manów, Ukraińców i samochodów. Przed bramą ustawiono nas rodzinami. Brama była otwarta, a gdy do niej doszłam, ujrzałam na podwórku fabryki stosy trupów, grupy ludności cywilnej, Ukraińców. Słyszałam strzały i jęki. Zrozumiałam, że nas czeka ten sam los.

Niemcy wpędzali tymczasem Polaków do wnętrza grupami, wkrótce, po godzinnym oczekiwaniu, i na mnie przyszła kolej. Weszłam razem z córką i dwojgiem dzieci, które się do mnie przyłączyły (Krysia Karczmarek, której rodziców nie było w domu, i Zygmunt Urlich, którego rodzice i 3-miesięczny braciszek zostali zastrzeleni przed samą bramą).

Na podwórzu, już przy samej bramie, potykaliśmy się o gęsto leżące trupy, a wzdłuż ściany po lewej stronie oraz pod murem budynku fabrycznego na wprost leżały stosy trupów, jedne na drugich, w różnych pozycjach.

Za każdą osobą wyrzuconą na podwórzu szedł SS-man i Ukrainiec, którzy strzelali z rewolweru w tył głowy. Zwróciłam się do Ukraińca, który głąskał moją córkę po lokach, z prośbą, by nas zwolnił. Ukrainiec ten zwrócił się z kolei do kolegi, powtarzając mu po polsku moją prośbę. Ten jednak nie zgodził się, odpowiadając mu, wskazał na nas: *Polnische banditen*. Córka wówczas wzięła mnie za rękę i poszłyśmy w kierunku ściany. Kiedy doszłyśmy do ściany, strzelano kilka razy do nas. Pierwszy strzał trafił mnie w szyję. Upadłam i trafiono mnie wówczas jeszcze trzy razy: raz w rękę i dwa razy w okolice serca. Obok mnie upadła córka, posłyszałam wkrótce jeszcze jeden strzał, po którym już córka moja nie ruszyła się.

W międzyczasie wprowadzano nowe partie Polaków.

Ile razy, nie umiem sobie zdać sprawy.

Słyszałam straszne krzyki, błagania, jęki oraz strzały.

Jak to długo trwało, nie wiem, gdyż byłam zupełnie osłupiała.

W przerwach między egzekucjami oraz przed wieczorem SS-mani i Ukraińcy chodzili po leżących, dobijając rannych (dobili tak moją córkę i osobę leżącą przede mną) oraz rabując biżuterię. Depcząc po mnie butami, złamali mi lewą rękę (tę, w którą byłam postrzelona) i prawy obojczyk oraz zdarli mi z palców pierścione.

Pod wieczór wszystko ucichło. Następnego dnia (niedziela) wstałam i, rozglądając się na wszystkie strony, obeszłam teren. Liczyłam trupy, które leżały na podwórzu.

Było ich ok. sześciu tysięcy.

Niemców ani Ukraińców na podwórzu tego dnia nie było. Spotkałam natomiast jedną kobietę oraz jednego mężczyznę – Polaków, którzy mimo otrzymanych ran żyli jeszcze.

Nazwisk ich nie znam, nigdy również ich potem nie spotkałam.

Kobieta ta tegoż dnia (tj. w niedzielę) opuściła teren fabryki, przechodząc przez parkan.

Po dwóch dniach, we wtorek 8 sierpnia ok. 4.00 rano, spotkałam jeszcze jedną kobietę, która mimo otrzymanych ran żyła, a mianowicie Wandę Lurie. Razem zaczęłyśmy chodzić po terenie fabryki, szukając wyjścia. Po długim szukaniu i po licznych próbach znalazłyśmy boczne wyjście na ul. Skierniewicką i tamtędy wyszłyśmy.

Mężczyzna – słysząc głosy Ukraińców – pozostał.

Zaszłyśmy do kościoła św. Wojciecha, skąd po dwóch dniach wywieziono nas do szpitala w Pruszkowie, a stamtąd skierowano nas do szpitala w Leśnej Podkowie.

Po wyzwoleniu Warszawy już 17 stycznia przyszedłam do miasta i tegoż dnia udałam się na teren fabryki „Ursus”. Podwórze było puste, pod ścianą, przy której strzelano do mnie, leżały gruzy. Widziałam nieliczne ślady popiołów pomieszanych z żelastwem na podwórzu

od strony bramy. Obecny na podwórzu członek zarządu fabryki oświadczył mi, że widział jedynie ślady krwi, kiedy był na terenie fabryki 11 sierpnia 1944 r.

Na tym protokół zakończono i odczytano.